



STEFAN GRABIŃSKI

Ultima Thule


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN GRABIŃSKI
DEMON RUCHU

*Ultima Thule*¹

Lat temu już dziesięć. Zdarzenie przybrało już kształty rozwiewne, niemal senne — zasnuło się błękitną mgłą rzeczy minionych. Dziś wygląda jak wizja lub jak szalone marzenie; a jednak wiem, że wszystko do najdrobniejszych szczegółów było naprawdę tak, jak pamiętam. Od owej chwili wiele zająć przesunęło się przed moimi oczyma, dużo przeżyłem i niejeden cios spadł na osiwiałą mą głowę — lecz wspomnienie wypadku pozostało nie zmienione, obraz dziwnej chwili wyrzeźbił się w duszy głęboko na za-

¹*Ultima Thule* (łac.) — wg staroż. Greków wyspa położona na północ od Brytanii, uchodząca za kraniec świata, niekiedy identyfikowana z Islandią. [przypis edytorski]

wsze; patyna czasu nie przyćmiła silnego rysunku, owszem, zda mi się, z lat ubiegim podkreśla cienie w sposób tajemniczy...

Byłem wtedy kierownikiem ruchu w Krępaczu, małej, śródgórskiej stacji niedaleko granicy; z mojego peronu widać było jak na dłoni wydłużony, szczerbaty łańcuch rubieży.

Krępacz był przedostatnim przystankiem na linii zmierzającej ku pograniczu; poza nim w odległości 50 km były jeszcze tylko Szczytniska, końcowa stacja kraju, w której stróżował czujny jak żuraw kresowy Kazimierz Joszt, kolega po zawodzie i przyjaciel.

On sam lubiał porównywać siebie z Charonem², a stację powierzoną swej pieczy przemianował antycznym trybem na Ultima Thule. Widziałem w tym dziwactwie nie tylko reminiscencje ze studiów klasycznych, gdyż racja obu nazw tkwiła głębiej, niżby się na pozór zdawało.

²Charon (mit. gr.) — przewoźnik, przeprowadzający dusze zmarłych do Hadesu. [przypis edytorski]

Okolice Szczytnisk była dziwnie piękna. Choć oddalona od mojego posterunku ledwo o trzy kwadransy drogi pociągiem osobowym, zdradzała zasadniczo odrębny i swój charakter, jakiego nie spotykało się nigdzie w tych stronach.

Malutki budynek stacyjny, przytulony do potężnej, granitowej ściany spadającej prostopadle w dół, przypominał jaskółcze gniazdo, przypięte do wnęki skalnej. Wokoło spiętrzone na 2000 m szczyty grążyły w półmroku przestrzeń, stację i magazyny. Poępny smutek zwiasty z czoł olbrzymów owijał nieuchwytnym całunem kolejową przystań. W górze kłębiły się wieczne mgły i staczały w dół turbanami mokrych oparów. Na poziomie 1000 m, mniej więcej w połowie swej wysokości, tworzyła ściana *gzems*³ w kształcie olbrzymiej platformy, której wyżłobienie niby czarę wypełniało po brzegi modrosrebrzyste jezioro. Parę zaskórnych strumieni, zbratawszy się potajemnie w trzewiach

³*gzems* — dziś popr.: *gzyms*. [przypis edytorski]

góry, biło z jej boku tęczowym łukiem siklawy⁴.

Po lewej usłoń skały w zarzuconym na ramiona wiecznie zielonym płaszczu jodeł i limb, po prawej dzikie urwisko z kosodrzewiną, naprzeciw, niby słup kresowy, nieugięta grań wirchu. Nad nią przestrzeń nieba chmurna lub pod brzask z rumieniona zorzą porannego słońca — poza nią... świat inny, obcy, nieznany. Dziką, zamkniętą ustroń, groźną poezją szczytów owiana rubież...

Stację łączył z resztą przestrzeni długi, w skałach wykuty tunel; gdyby nie on, izolacja zakątka byłaby zupełną.

Ruch kolejowy zabłąkany pomiędzy samotne turnie malał, słabł, wyczerpywał się. Nieliczne pociągi niby bolidy wytrącone z ruchu centralnego wylaniały się rzadko z czeluści tunelu i zajeżdżały przed peron cicho, bezgłośnie, jakby w obawie, by nie zmącić zadumy górskich geniuszy. Nikłe wibracje wniesione za ich

⁴siklawka — górski wodospad. [przypis edytorski]

przybyciem w śródgórskie zacisze tężały rychło i krzepły wylękle.

Po opróżnieniu wagonów maszyna szybowała parę metrów poza peron i pociąg podjeżdżał pod sklepistą, w granitowej ścianie wykutą halę. Tu stał długie godziny, wypatrując mroki pieczary oczodołami pustych okien, w oczekiwaniu na zmianę. Gdy nadszedł upragniony towarzysz, opuszczał leniwo skalne schronisko i odchodził w świat życia, w ognisko mocno grających tętn. A tamten zajmował jego miejsce. I znów stacja zapadała w senne drzemanie spowite kwefem mgieł. Ciszę odludzia przerywał chyba skwir orląt po okolnych żlebach lub szmer staczających się w parowy piargów...

Lubiałem tę górską pustelnię ogromnie. Była dla mnie symbolem tajemniczych krańców, jakimś mistycznym pograniczem dwóch światów, jakby zawieszeniem między życiem a śmiercią.

W każdą wolną chwilę, powierzywszy Krępacz opiece mego asystenta, jeździłem drezyną w odwiedzinie do Szczytnisk do kolegi Josz-

ta. Przyjaźń naszą starą, bo zawartą jeszcze na szkolnej ławie, wzmocniła wspólność zawodu i bliskie sąsiedztwo. Zżyliśmy się z sobą bardzo i dzięki częstej wymianie myśli stopili w przedziwną jedność.

Joszt nigdy wizyt nie oddawał.

— Nie ruszę się już stąd ani krokiem — odpowiadał zwykle na moje wymówki — tutaj mi już zostać do końca. — Bo czyż nie pięknie? — dorzuczał po chwili, obejmując zachwyconym spojrzeniem otoczenie.

Przyznawałem w milczeniu i wszystko wracało do dawnego porządku.

Niezwykłym człowiekiem był kolega Joszt, ze wszech miar dziwnym. Mimo swej iście gołębiej łagodności i bezprzykładnej dobroci nie cieszył się sympatią w okolicy. Górale zdawali się stronić od naczelnika stacji, z daleka schodząc mu z oczu. Przyczyna leżała w dziwacznej opinii, którą sobie o nim nie wiadomo jak ludzie urobili. Joszt uchodził wśród ludu za „widuna⁵”, i to w ujemnym tego słowa znaczeniu.

⁵*widun* (reg.) — człowiek przewidujący przyszłość. [przypis edytorski]

Mówiono, że przewiduje u bliźnich „przywilej śmierci”, że niejako przeczuwa chłódny jej powiew na twarzach wybrańców.

Ile w tym było prawdy, nie wiem — w każdym razie zauważyłem w nim coś, co mogło zaniepokoić umysł wrażliwszy i skłonny do przesądów. Utkwił mi mianowicie w pamięci następujący dziwny zbieg okoliczności.

Był w Szczytniskach między funkcjonariuszami stacyjnymi zwrotniczy nazwiskiem Głodzik, pilny i sumienny pracownik. Joszt bardzo go lubiał, traktując nie jak podwładnego, lecz jak kolegę i towarzysza zawodu.

Pewnej niedzieli, zjechawszy jak zwykle w odwiedziny, zastałem Joszta w posepnym nastroju; był chmurny jakiś i ponury. Zapytany o powód, zbył mnie zrazu niczym i gwałtem nadrabiał miną. Wtem nawinął się Głodzik; coś tam meldował, prosił o dyspozycje. Naczelnik bąknął ni to, ni owo, popatrzył mu dziwnie w oczy i uścisnął jego szorstką, spracowaną rękę.

Zwrotniczy odszedł zdumiony zachowaniem się przełożonego, kręcąc z niedowierzaniem swoją dużą, kędzierzawą głową.

— Biedak! — szepnął Joszt, patrząc smutno za nim.

— Dlaczego? — zapytałem nie pojmując całej tej sceny.

Wtedy Joszt wytłumaczył.

— Miałem zły sen tej nocy — mówił unikając mego spojrzenia — bardzo zły sen.

— Ty wierzysz w sny?

— Niestety, ten, który śniłem dzisiaj, jest typowym i nigdy nie zawodzi. Widziałem dzisiejszej nocy starą, zapadłą rudere z powybijanymi szybami. Ile razy mi się wyśni ten przeklęty budynek, jest nieszczęście.

— Ale w jakim związku pozostaje to ze zwrotniczym?

— W jednym z pustych okien ujrzałem wyraźnie zarysowaną jego twarz. Wychylił się z tej czarnej nory i powiał ku mnie swą kraciatą chustą, którą zawsze nosi na szyi.

— I cóż stąd?

— To był gest pożegnalny. Ten człowiek wkrótce umrze — dziś, jutro, za lada chwilę.

— Sen — mara, Bóg — wiara — usiłowałem go uspokoić.

Joszt uśmiechnął się tylko z przymusem i zamilkł.

A jednak tegoż dnia wieczorem zginął Głodzik wskutek własnej pomyłki. Wprowadzona w błąd jego fałszywym sygnałem maszyna ucięła mu obie nogi; wyzionął ducha na miejscu.

Wypadek wstrząsnął mną do głębi i przez długi czas unikałem z Josztem rozmowy na ten temat. W końcu, może w rok potem, zagadnąłem raz niby od niechcienia:

— Od kiedy miewasz twe złowróżbne przeczucia? O ile pamiętam, nigdy dawniej nie okazywałeś podobnych właściwości.

— Masz słuszność — odparł niemile tknięty poruszoną kwestią — ta przekłeta właściwość rozwinęła się u mnie dopiero później.

— Wybacz, że cię nękam tą niemiłą sprawą, lecz rad bym znaleźć środek do wyzwolenia

nia cię z fatalnego daru. — Kiedy zauważyłeś to u siebie po raz pierwszy?

— Mniej więcej przed ośmiu laty.

— Więc rok po twym przesiedleniu się w te strony?

— Tak, w rok po przeniesieniu mnie do Szczytnisk. Wtedy to, w grudniu, w samą Wigilię przeczułem śmierć Groceli, ówczesnego wójta. Historia stała się powszechnie znaną i w ciągu kilku dni zjednała mi złowieszczy przydomek „widuna”. Górale zaczęli uciekać przede mną jak przed puszczykiem.

— Dziwne. A jednak coś w tym tkwić musi. Zachodziłby tu zatem klasyczny przykład na tzw. „drugi wzrok” (*seconde vue*), o którym swego czasu nazywałem się dużo w księgach starej magii. Podobną właściwością obdarzeni być mają dość często górale szkoccy czy iryjscy.

— Tak — i ja studiowałem dzieje tego objawu z łatwym do zrozumienia zainteresowaniem. Zdaje mi się nawet, że znalazłem w ogólnych zarysach przyczynę. Twoja wzmianka o puszczykach szkockich bardzo trafna, tylko wyma-

ga paru słów uzupełnienia. Oto zapomniałeś dodać, że ci znienawidzeni przez otoczenie, niejednokrotnie wypędzani jak trędowaci poza obręb wsi nieszczęśliwcy zdradzają swe zgubne zdolności tylko tak długo, dopóki przebywają na wyspie; przeniesieni na kontynent tracą żalobny swój dar i niczym nie różnią się od przeciętnych osobników.

— To szczególne. To, co mówisz, świadczyłoby więc o tym, że to wybitnie psychiczne zjawisko przecież zależnym jest od czynników natury chtonicznej⁶.

— Istotnie. Fenomen ten ma dużo w sobie składników tellurycznych⁷. Jesteśmy synami Ziemi i podlegamy jej potężnym wpływom nawet w dziedzinach oderwanych pozornie od jej podłoża.

— Czy objawy własnego jasnowidztwa wywodzisz z podobnych źródeł? — zapytałem po chwili wahania.

⁶*chtoniczny* (z gr.) — związany z ziemią bądź ze światem podziemnym. [przypis edytorski]

⁷*telluryczny* (z łac.) — związany z ziemią, pochodzący z ziemi. [przypis edytorski]

— Naturalnie. Wpływa na mnie otoczenie, pozostaję pod działaniem tutejszej atmosfery. Mój złowieszczy przymiot wynikał z nieubłagana logiką z duszy tej okolicy. Żyję na pograniczu dwu światów.

— Ultima Thule! — szepnąłem schylając głowę.

— Ultima Thule! — powtórzył jak echo Joszt.

Umilkłem przejęty uczuciem lęku. Po czasie, otrząsnąwszy się z wrażenia, zapytałem:

— Dlaczego, zdając sobie tak jasno sprawę z wszystkiego, nie przeniosłeś się dotąd w inne strony?

— Nie mogę. W żaden sposób nie mogę. Czuję, że gdybym się stąd usunął, postąpiłbym wbrew swemu przeznaczeniu.

— Przesądny jesteś, Kazik.

— Nie, to nie jest przesąd. To przeznaczenie. Mam głębokie przekonanie, że tylko tutaj, na tym skrawku ziemi mam spełnić ważną jakąś misję; jaką — nie wiem jeszcze dokładnie — mam tylko słabe jej przeczucie...

Urwał, jakby zląkłszy się tego, co powiedział. Po chwili zwracając swe siwe, przeświecone blaskiem zachodu oczy na skalistą ścianę rubieży, dodał szeptem:

— Wiesz, nieraz zdaje mi się, że tu, z tą prostopadłą granią kończy się świat widzialny, że tam, po drugiej stronie zaczyna się świat inny, nowy, jakieś nie znane w ludzkim języku *mare tenebrarum*⁸.

Spuścił znużone purpurą szczytu oczy ku ziemi i zwrócił się w stronę przeciwną ku przestrzeni kolejowej.

— A tutaj — dorzucił — tutaj kończy się życie. Oto jego ostatni wysiłek, ostatnia, krańcowa odnoga. Tutaj wyczerpuje się jego twórczy rozmach. Przeto stoję tu jako strażnik życia i śmierci, jako powiernik tajemnic z tej i tamtej strony grobu.

Domawiając tych słów, spojrział mi głęboko w twarz. — Był piękny w tej chwili. Natchnione spojrzenie zamyślonych oczu, oczu poety i mistyka, skupiło w sobie tyle ognia, że nie

⁸*mare tenebrarum* (łac.) — morze ciemności. [przypis edytorski]

mogłem znieść ich promiennej mocy i pochyliłem ze czcią głowę. Wtedy zadał mi końcowe pytanie:

— Czy wierzysz w życie po śmierci?

Podniosłem powoli głowę:

— Nic nie wiem. Ludzie mówią, że tyle jest dowodów za, co i przeciw. Rad bym uwierzyć.

— Umarli żyją — powiedział mocno Joszt. Nastąpiło długie, wsłuchane w siebie milczenie.

Tymczasem słońce, zakreśliwszy łuk nad zębatym żlebem, skryło tarczę poza jego zrębem.

— Już późno — zauważył Joszt — i cienie wychodzą z gór. Musisz dziś wcześniej spocząć; zmęczyłeś się jazdą.

I na tym zakończyliśmy pamiętną naszą rozmowę. Odtąd ani razu już nie mówiliśmy o rzeczach ostatecznych ani o groźnym darze drugiego wzroku. Wystrzegałem się dyskusji na ten niebezpieczny temat, gdyż widocznie sprawiała mu przykrość.

Aż razu pewnego on sam przypomniał mi swe ponure zdolności.

Było to dziesięć lat temu, w środku lata, w lipcu. Daty tych zdarzeń pamiętam dokładnie — wraziły się w pamięć na zawsze.

Było to w środę, 13 lipca, w dzień świąteczny. Jak zwykle rano przyjechałem w odwiedzi-ny; mieliśmy razem ruszyć ze strzelbami w sąsiedni parów, gdzie pojawiły się dziki. Zastałem Joszta w nastroju poważnym, skupionym. Mówił mało, jakby zajęty upartą myślą, strzelał źle, w roztargnieniu. Wieczorem na pożegnanie uściskał mię gorąco i podał zapieczętowany list w kopercie bez adresu.

— Słuchaj, Roman — mówił drżącym ze wzruszenia głosem. — Mają zajść w życiu moim ważne przemiany; być może będę zmuszony wyjechać stąd na czas dłuższy i zmienić miejsce pobytu. Jeśli to rzeczywiście nastąpiło, otworzysz ten list i odeślesz pod adresem zawartym wewnątrz; sam nie będę mógł tego uskutecznić z rozmaitych powodów, których obecnie nie wymienię. Zrozumiesz to później.

— Chcesz mnie opuścić, Kaziu? — zapytałem zdławionym od bólu głosem. — Dlaczego? Czy otrzymałeś jaką smutną wiadomość? Dlaczego wyrażasz się tak niejasno?

— Zgadłeś. Ujrzałem dzisiaj we śnie znowu rozwalony dom, a w jednej z jego czeluści postać osoby bardzo mi bliskiej. Oto wszystko. Żegnaj, Romku!

Rzuciliśmy się sobie w ramiona na długą, długą chwilę. Za godzinę byłem już u siebie i targany burzą sprzecznych uczuć wydawałem instrukcje jak automat.

Tej nocy nie zmrużyłem oka, niespokojnie przechadzając się po peronie. Nad ranem, nie mogąc znieść dłużej niepewności, zatelefonowałem do Szczytnisk. Odpowiedział natychmiast, dziękując serdecznie za troskliwość. Głos jego spokojny i pewny, treść słów pogodna, niemal żartobliwa, podziałały kojąco; odechnąłem.

Czwartek i piątek upłynęły spokojnie. Co parę godzin porozumiewałem się z Josztem telefonicznie, za każdym razem otrzymując od-

powieź uspokajającą: nie zaszło nic ważnego. Podobnie rzecz się miała w sobotę w ciągu dnia.

Zacząłem odzyskiwać zachwianą równowagę i udając się na spoczynek koło dziewiątej wieczór w lokalu służbowym, zwymyślałem go przez tubę telefonu od puszczyków, kruków itp. złowieszczych stworzeń, które same nie mogąc znaleźć spokoju, innym go zamęczają. Przyjął wyrzuty w pokorze i życzył mi dobrej nocy. Jakoż wkrótce zasnąłem twardo.

Spąłem godzin parę. Nagle wśród najgłębszego snu usłyszałem nerwowe dzwonięcie. Na pół przytomny zerwałem się z otomany, zasłaniając oczy przed rażącym światłem gazu w lampie. Dzwonek wzywał powtórnie, podbiegłem do aparatu, przykładając ucho do receptora.

Mówił Joszt urywanym głosem:

— Wybacz... że ci przerywam sen... Wyjątkowo muszę puścić dziś wcześniej... towarowy nr 21... Trochę mi nieswojo... Odejdzie za pół godziny... wydaj odpowiedni sygn... Ha!...

Błonka, wydawszy parę chrapliwych tonów, nagle przestała drgać.

Nadśłuchiwałem z tętniącym głośno sercem, czy czegoś nie usłyszę, lecz daremno. Z tamtego końca drutu szło ku mnie głucho milczenie nocy.

Wtedy zacząłem sam mówić. Pochylony ku otworowi aparatu rzucałem w przestrzeń słowa niecierpliwe, wyrazy bólu... Odpowiadała kamienna cisza. — Wreszcie zataczając się jak pijany na nogach, odszedłem w głąb pokoju.

Wyciągnąłem zegarek i spojrzałem na tarczę; było 10 minut po dwunastej w nocy. Od-
ruchowo porównałem czas ze zegarem ściennym nad biurkiem. Rzecz dziwna! Zegar stał. Znieruchomiłe indeksy⁹ zasunięte jeden na drugi znaczyły godzinę dwunastą; zegar stacyjny przestał chodzić od dziesięciu minut, tj. od chwili gwałtownego urwania rozmowy! Zimny dreszcz wstrząsnął mym ciałem.

Stałem bezradny w środku pokoju, nie wiedząc, dokąd się zwrócić, co począć. W jakiejś chwili chciałem wsiąść na drezynę i popędzić co sił do Szczytnisk. Lecz w porę wstrzy-

⁹*indeks* — tu: wskazówka. [przypis edytorski]

małem się. Nie mogłem teraz opuszczać stacji; asystenta nie było, służba pospana, a nadzwyczajny pociąg towarowy mógł lada chwila zajechać przed peron. Bezpieczeństwo Krępacza spoczywało wyłącznie na moich barkach. Nie pozostawało nic innego, jak czekać.

Więc czekałem, jak ranny zwierz rzucając się z kąta w kąt pokoju; czekałem z zaciśniętymi ustami, co chwila wychodząc na peron i nadsluchując sygnałów. Wszystko na próżno; nic nie zapowiadało przybycia pociągu. Więc znów wróciłem do biura, by okrążywszy parę razy pokój, ponowić próbę z telefonem. Bezskutecznie; nikt nie odpowiadał.

W dużej stacyjnej sali oświetlonej oślepiająco białym światłem gazu uczułem się nagle ogromnie samotny. Jakiś lęk dziwny, nieokreślony ujął mię w drapieżne pazury i trząśł, że zacząłem dygotać jak w febrze.

Usiadłem znużony na otomanie i ukryłem twarz w dłonie. Bałem się patrzeć przed siebie, by nie spotkać czarnych palców zegara, wskazujących niezmiennie godzinę północy — jak

dziecko bałem się spojrzeć otwarcie dokoła, by nie zobaczyć czegoś strasznego, co krew ścina lodem. Tak minęły dwie godziny.

Nagle drgnąłem. Grały dzwonki telegrafu. Poskoczyłem do stołu, gorączkowo puszczając w ruch przyrząd odbiorczy.

Z bloczku powoli jęło¹⁰ się wysnuwać długie, białe pasemko. Nachylony nad zielonym prostokątem sukna, ująłem w rękę pełzającą wstążkę i szukałem znaków. Lecz rulon był nie zapisany; ani śladu rylca. Czekałem z wyteżonym wzrokiem, śledząc ruch taśmy...

Nareszcie pojawiły się pierwsze słowa w długich, minutowych odstępach, wyrazy ciemne jak zagadka, złożone z trudem wielkim i wysiłkiem, ręką drżącą i niepewną...

„...Chaos... mroczno... bezład snu... daleko... szary... świt... och!... jak ciężko!... jak ciężko... wyzwolić się... wstręt! wstręt!... szara masa... gęsta... cuchnąca... nareszcie... oderwałem się... Jestem...”

¹⁰jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Po ostatnim słowie nastąpiła dłuższa, paruminutowa przerwa; lecz papier snuł się dalej leniwą falą. I znów pojawiły się znaki — teraz już pewniej stawiane, śmielsze:

„...*Jestem! Jestem! Jestem!*” On... mój kształt leży tam... na sofie... zimny, brr... rozpada się powoli... od wnętrza... Obojętny mi już... Przychodzą jakieś fale... duże, jasne fale... wir!... Czujesz ten ogromny wir!... Nie! Ty go czuć nie możesz... I wszystko przede mną obecne... wszystko teraz... Cudowny odmęt!... Porywa mnie!... z sobą!... porwał!... Idę już, idę... Żegnaj... Rom...”

Depesza nagle urwała się; aparat stanął. Wtedy prawdopodobnie zachwiałem się i upadłem na posadzkę. Tak przynajmniej utrzymywał asystent przybyły koło trzeciej nad ranem; wszedłszy do biura, zastał mnie bez pamięci na ziemi z ręką owiniętą szarfami papieru.

Oprzytomniawszy, zapytałem o pociąg towarowy. Nie przybył. Wtedy bez wahania wsia-

dłem na drezynę i wśród pierzchających mro-
ków puściłem motor w stronę Szczytnisk. Po
półgodzinnej jeździe byłem na miejscu.

Zaraz u wstępu spostrzegłem, że zaszło coś
niezwykłego. Zwykle spokojną i samotną sta-
cję zalegał tłum ludzi cisnących się do lokalu
służbowego.

Gwałtownie rozpychając gawieź, utorowa-
łem sobie drogę do wnętrza. Tu zobaczyłem
paru mężczyzn pochylonych nad sofą, na któ-
rej leżał z przymkniętymi oczyma Joszt.

Odrąciłem jednego i przypadłem do przy-
jaciela, chwytając go za rękę. Lecz ręka Josz-
ta zimna i sztywna jak marmur wysunęła się
z mojej i opadła bezwładnie poza brzeg posła-
nia. Na twarzy ściętej mrozem śmierci, w wi-
churze bujnych, popielatych włosów rozlany był
cichy, błogi uśmiech...

— Udar serca — wytłumaczył stojący obok
lekarz. — Dziś o północy.

Uczułem ostry, kłujący ból w lewej piersi.
Odruchowo podniosłem oczy na zegar ścienny

nad sofą. — I on stanął w tragicznej chwili, i on wskazywał dwunastą.

Usiadłem na sofie przy zmarłym.

— Czy zaraz stracił przytomność? — zwróciłem się do lekarza.

— Na miejscu, *śmierć nastąpiła równo o dwunastej w nocy* w chwili nadawania depeszy przez telefon. Gdy dziesięć minut po północy przybyłem zawezwany przez droźnika, pan naczelnik już nie żył.

— Czy kto telegrafował do mnie *między drugą a trzecią*? — zapytałem wpatrzony w twarz Joszta.

Obecni spojrzeli po sobie zdumieni.

— Nie — odpowiedział asystent — to wykluczone. Wszedłem do tego pokoju koło pierwszej, by objąć funkcje po zmarłym, i odtąd nie opuściłem lokalu służbowego ani na chwilę. Nie, panie naczelniku — ani ja, ani nikt inny ze służby tej nocy nie używał telegraficznego aparatu.

— A jednak — rzekłem półgłosem — dziś w nocy *między drugą a trzecią* odebrałem depeszę ze Szczytnisk.

Zapadło głuche, kamienne milczenie.

Jakaś słaba, niedołączna myśl przebierała się z trudem do świadomości...

— List!

Sięgnąłem do kieszeni, rozdarłem kopertę. — Był przeznaczony dla mnie. Oto, co pisał Joszt:

„Ultima Thule, 13 lipca.

Drogi Romku!

Mam zginąć wkrótce, nagle. Człowiekiem, którego dziś we śnie widziałem w jednym z okien rudery, byłem ja sam. Może niebawem spełnię swą misję, a ciebie wybiorę na pośrednika. Opowiesz ludziom, dasz świadectwo prawdzie. Może uwierzą, że jest świat inny... Jeśli zdołam. — Żegnaj! Nie! Do widzenia — kiedyś po tamtej stronie...

Kazimierz”

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-ultima-thule>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, Utwory wybrane, Tom I: Nowele, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Riding a Korean Train: 1945, doki@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekazaj 10% podatku na *Utwór Ultima Thule* Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bi-